



## MANGLA

(*Ryzofora mangle* podług Linneusza)

I ŻÓRAW JNDYI.

Po Banianie, któren nazwać można królem roślin, Mangla jest może najciekawszym płodem silnej roślinności krajów podzwrotnikowych. Drzewo to, podobne jest do Banianu pod względem rośnięcia i odradzania. Mangla lubi rość nad brzegami rzek, tuż przy ich ujściu, oraz na niskich ziemiach które przystęp morza zalewa, potrzebuje z gruntu odwilżanego kolejno wodą słodką i morską. Pień wyrostła pochyło i zawsze kieruje się ku wodzie, jest średniej wielkości, zielonego i szarego

koloru. Zaledwie dojdzie do kilku stop wysokości, już się rozdziela na liczne odnogi, które zaokrąglają się w sklepienia, i dzielą się na mnóstwo gałęzi. W miejscu gdzie wyrastają gałęzie, puszcza się także korzenie, zniżające się ku ziemi, albo raczej ku powierzchni wody. Skoro tylko ję dotkną się, natychmiast ciągną z niej soki pożywne i rozrastają się bardzo szybko. Włókna korzeni rozpościerające się na powierzchni wody, płaczą się z sobą i wkrótce tworzą masę zieloności pod któ-

ra wody znikają. Przystęp i odpływ morza, niezmiernie urozmaica widok tych wiszących gaików. Pod czas przystępu, tworzą się tu i owdzie kanały i małe prądy. Ryby pływają w tych przesmykach, raki morskie siadają na gałęziach. Gdy woda opadnie, widok jeszcze jest dziwniejszy; zdaje się że to jest las pod którym ziemia zapadła się i który został w powietrzu, zawieszony za wierzchołki. Drzewo to rozmnaża się i rozrasta niezmiernie prędko i dla tego też, w wielu miejscach, cała powierzchnia rzek albo brzegów morza, pokryta jest tą roślinną skorupą.

Papugi bardzo lubią owoc Mangli i siadają na gęstych jej wierzchołkach; ale ci różnobarwni goście, na chwilę tylko przylatują; inny ptak założył na niej stałe mieszkanie: jest to dziwaczne stworzenie, które wyobraża nasza rycina, dumające na gałęzi. Ptak ten należy do najciekawszych odmian rodzaju żorawiów. Stojąc na długich chudych nogach, dźwiga, o pięć stop od ziemi, głowę uzbrojoną kończystym dziobem, i tak długim iż bardzo wielkie kawały połykać może. Dwie kitki włosiane ozdabiają nagą jego głowę. Szyja także naga, ma u góry mięsiste naroście irzadkie pęki włosów, część niższa opatrzona jest miękką błoną, pokrytą krótkim i kręjącym się puchem. W miejscu, gdzie szyja łączy się z pierściami, znajduje się kupa włosów, gęstsza i dłuższa. Ciało pokryte białym i szarym pierzem, przygniecionie jest ogromnemi skrzydłami, mającemi pięćnaście stop objętości, gdy są rozwinięte. Skrzydła te, wystają nad szyją i przedłużając się za ogon, obwijają całego ptaka pokrywają czarnego koloru. Ptak ten puszy się i chodzi bardzo poważnie. Mimo tej pozornej pychy, ma bardzo nieszlachetne nałogi, szuka pożywienia między trupami i zgniętymi szczątkami, które woda na brzeg wyrzuca. Za pomocą długich i gołych nóg, łatwo chodzić może po mule, a długim dziobem i szyją wydobywa żywność ugrzęzłą w błocie. Tak więc, żywiąc się pastwą którą mu woda przynosi, przebywa pomiędzy manglami, których korzenie rozciągnięte na wodzie, zatrzymują pływające ciała. Gałęzie pochylone nad wodą są ulubionym siedliskiem tego żurawia; nie poruszony i niby zamysłony, czeka dopóki morze nie opadnie, a wtedy poważnie chodzi po mule i chwytając ścierwo, węże, żaby, jaszczurki, żółwie; spokojnie ładuje żołądek i przedłuża swoją biesiadę i przechadzkę, dopóki morze znówu wzbierać nie zacznie; wraca wówczas na manglę i trawi połkniętą żywność.

Ptak ten, z natury spokojny i bojaźliwy, łatwo się unosi gniewem. Przybiera wte-

dy marsową postać, spina się na rozkraczonych nogach, rozwija skrzydła i roztwiera dziób, wydając głuche ale mocne mruczenie, do głosu niedźwiedzia podobne. Rzadko się zdarza, aby kto napastował indyjskiego żorawia; dziwaczna jego postać uderza wyobraźnię zabobonnych Jndyan. Mniemają, że dusze braminów lubią przechodzić w ciało żorawi i dla tego niezmiernie wielbią i szanują te ptaki. Zład wynikło, iż niezmiernie rozmnożyły w Jndostanie; brzegi jezior i morza okryte są nieprzeliczonemi gromadami żorawi, które wyrządzają rzeczywistą przystęgę krajowi, uprzątając zdechlizny i nieczystości, mogące zatruć atmosferę.

### DOMEK MEGO DZIADKA.

(Z rękopismów Ignacego Chodźki. Rzecz wyjęta z Wizerunków Naukowych)

Ktoż nie doznał najtkliwszego uczucia, wchodząc po długim oddaleniu, do domku, w którym dai swoje dziecinne i młode przepędzał; czyjeż oko nie zalało się łzami miłego rozrzewnienia, na wspomnienie osób, których w tych samych już nie ogląda izbach, a które go tu niegdyś z pierwszotą tuliły do serca; czemuż nie będzie słodsza jagoda z tegoż samego krzaku w jesieni życia zerwana, z którego, dziecięciami, piastunka lub go stary dziadulek karmił; któż w starych sługach domowych nie będzie szukał z upragnieniem choćby jednego świadka chwil dawno ubiegłych a obecnych sercu i pamięci obudwóch? Jakże mu drogim i szacownym będzie ten pomnik, z jakim rozkoszą rozmawiać z nim będzie, i uczyć się na nowo tego wszystkiego, na co dziecinnem kiedyś poglądał okiem!

Przybywam do domku mego dziadka.—

Wszystko tak jak było,

Tylko się ku starości nieco pochylilo.

Taż sama mchem porośla strzecha, ten że sam ganek z ławkami, i te w rozmaite strony wydeptane ścieżki, po których dziecinna niegdyś biegła stopa;—a co najbardziej, tenże sam ogromny kamień, na którym tylekroć razem wieczorem zebrał, letniego używaliśmy chłodu, lub zwróceniu pokornie do wzniesionego tu wizerunku Chrystusa, za przewodnictwem ojca rodziny, wznosiliśmy, za jego długie życie, on, za naszą szczęśliwość, gorące modły. Chciwy zastawnik który tu był zamieszkał, ogołacając ze wszystkiego tę ubogą chatkę, nie śmiał poruszyć krzyża, a nie zdołał głazu i te jedyne przy moich ścianach zostawił mi pamiątki.

Przed lat kilkudziesiąt mieszkał tu P. Maciej Widmont, dziadek mój. Szalone cnoty jego i proste obyczaje, tym interesowniejszy złożyć mogą obraz, że pomiędzy opisem zbytków i wspaniałości bogatych dziadów naszych, pomiędzy obrazami wad klasy niższej i średniej, chcąc zawsze naśladować wyższą, a do najczęściej zbytek bardziej i nałogi, niżeli dobre wybierającej przymioty, już nie mamy pierworysów owych uboższych ziemian, u których, w skromnych zagrodach, zachowywała się bogobojna poczciwość, prosta i otwarta szczerłość chrześcijańska, gorliwa pobożność, i czystość sumienia. Przechowywał się także zapas przesądów, co wieczór w cichym powtarzanych gwarze, łączących familijnem że tak powiem ogniwem, gminne urojenia i powieści z domowemi bajkami.

Kilka chat włościańskich i mały obszar ziemi, składały dziedzictwo mojego dziadka; z tém szczupłym mieniem był szczęśliwy i uszczęśliwiał. Jakiż to los do zazdrości!

„Pszczolka, klaczka i pszenica,

Wyprowadza z nędzy szlachcica;“

Powtarzał często Pan Widmont, a szedł w gospodarstwie za tém starowiejskiem przystawieniem: to też dwa ogrodki jego, gajem wiśni, jabłoni i grusz zarosłe, brzęczały rojami pszczołek; na gumnisku zawsze kilkoro pięknych hasało zrebiał i corocznie, wielka część pola jego, złotym pszenicy okrywała się kłosem, a obfitość i dostatek gospodarski, napełniały mu stodoły, spiżarnie i spichrze.

Mój dziadek nigdy nie był bez zapasu pieniędzy. O! dobrze pamiętam ów kuferek szczelnie okuty, w ciemnym kątku garderóbki alkowy stojący; z niego to dostawały mi się często talary i złotych, a zawsze ze zwyczajną przestrogą, którą mnie wnukowi za naukę, a sam sobie za reflexyą przeciw zbytecznej hojności, przy każdym otworzeniu kufierka powtarzał.

Pamiętaj przychodzie

Żyć z rozchodem w zgodzie.

Dom ten mały, chędogi natenczas, wesoty i ładny, dziś mi tylko urokiem przypomnienia miły, zawiera dwie izby pokojami honorowie zwane, *alkówkę z garderóbką i bokówkę z alkierzykiem*. Bokówka ta, z dużym kominem, piecem jeszcze większym, szerokim zydlem koło pieca i długim zapiekiem, gniazdem działwy i szczurów, była miejscem najwaleńszych spraw domowych; tu panowie i studzy zgromadzali się przededniemna rożaniec, wieczorem na godzinki; tu przy kawie ra-

no ulubione snów tłómaczenie i tu wieczorne przy kominie o upiorach i strachach gwary: którym mój Dziadulo lubo zdawał się nie wiczyć, i wszystkim niewiarę wmawiał; jednakże sam nową często przydając powieść, nauczając dawnego i doświadczonego sposobu odpędzania czarów lub odkrywania zaklętych skarbów, nie chcący z własnym wydawał się przekonaniem, a kończył zawsze na tém. „*Dziatki! dziatki! bez woli Boga nie się nie stanie!*“ Tu furczały wiecznie dwa kołowrotki, głużąc zwadkę dwóch swięgotliwych prządek, zastużonych pokojówek Jejmości; tu nakoniec w Niedzielę i święta uroczyste, panna *Helena*, córka nieboszczyka Ekonomia, do familijnej przyswojona drużyny, siedząc przy piecu na zedelku, ze spuszczo-nemi skromnie oczkami, dla zabawy gości cieniutko śpiewała światowe pieśni: „*Pójdźcie pójdźcie gąski moje do domu!*“ lub pod dobry humor Jegomości, „*Kurdesz kurdesz nad kurdeszami*. Rzadko jednak goście wstęp mieli do *bokówki*: dla nich dwa paradne były pokoje, w pierwszym z nich wielki obraz Boga Rodzicy, co niedziela w świeże bukiety siarzystych goździków ustrojony, zajmował ścianę; pod nim bogaty relikwiarz misternej roboty i dzwoneczek loretański, odpędzający chmury, pioruny, i nawałnice. Kredens i inne sprzęty proste dogadzały tu koniecznej tylko wygodzie. Drugi pokój, o! drugi pokój na zbytek zakrawał! tu kanapki dywanikami zastane, tu staroświeckie w kwiaty malowane obicia, okrywały ścianę; tu dwa stoliki niegdyś malowane: na jednym warcabnica, na drugim talia kart polskich dobrze ogranych, i filiżanka z garścią bobu na marki: tu bowiem był plac rozprawy w codziennego nałogowego maryasza i świętecznego ćwika. Z jakimże interesem grano, gdy płątka dwóch złotych dochodziła!... Mój dziadulek wyświeca tuza; brać czy nie brać? a krzyk powszechny „*brać! brać!*“ dodaje serca. Ale płątka odzywa się sąsiad, chcący w duchu aby gracz stchurzył, a tuz z kolei do niego przeszedł. Mój dziadulek wróży w palce, *raz, dwa, trzy*. Biorę, rzekł nakoniec z energią godną podziwienia! co będzie to będzie, biorę, Rozwija się powoli karta, oczekują wszyscy; ciche *remis*, szepee się już około stolika. W tym zawoła dziadunio: „*Kto pomaga? kto pomaga? kto do azardu? powtarza śmiało. Nikt! nikt!*“ Sąsiad powróżył także w palce, spojrział ukosem w kartę źle strzeżoną gracza, aż tu obok tuza król w sekundach!—A więc nikt nie pomaga? nikt nie bierze? nikt? po raz ostatni zapytał dziadunio: *nikt!* i pełny spodek groszaków wyrzucił tryumfalnie przed



## DZIECI MIESZKAŃCÓW KANADY.

siebie. Iluż to przyjaciół w szczęściu! Każdy wieszkuje; każdy przechwala że koniecznie tuza brać życzył; wszyscy przyznają, że Pan Skarbnik wybornie gra w ćwika, a jam skakał z radości.

O ileż to razy, ze szkolnej uwolniony mozoły, jechałem tu na uroczyste święta! Błogi wieku dziecinny! jakże ci mało do uszczęśliwienia potrzeba! jak wyobrażenie zabawy i pociechy upaia rozkoszą niewinne serce! jak żywa radość błyszczy w oczach i wzrusza całym dziecinnym jestestwem! Z jakimże uniesieniem postrzegam z daleka gaik i dach domku, w którym piękną wielkanoc przepędzić miałem! Wielkanoc! święto najweselsze! święto wiosny! święto odzywającej się natury! święto odkupienia i powszechnej radości!

Ostatnie resztki sutój pańskiej wieczery, ostatni suchar i ostatni śledź w wieczór ostatniej soboty spożyty został i już z *Bokawki*, jakby pierwociny jutrzejszych godów, miłe zalatywały wonie, gdy huczne kotły i dzwony dawały hasło rezurekcyi. Bieżał wnet mój dziadunio do kościoła, biegliśmy my wszyscy za nim, biegła cała czeladź domowa: bo kto z gospodarzem chciał używać darów Wielkiénocy, modlić się wprzód z nim koniecznie musiał. Powitany wesołym Alleluja, dzień zaświtał wśród nabożeństwa; dzień piękny, wiosenny; gromadnie i huczno wychodzono z ko-

ścioła, *Wesołego Alleluja*, odzywano się na około. Pozdrowienie to uroczyste, mięształo się z wesołym gwarem pospółtwa, a rzeźwość, uweselenie i radość jaśniały na twarzach wszystkich.

My także wracaliśmy do domu, przechodząc koło chat wiejskich; przy każdej z nich, familija pocziwych chłopków w kupkę zebrana, czekała na poświęcenie swoich zapasów. Nasze damy powracały do domu, w staroświeckim ale na przepych wyporządkowanym pojeździe, my piechotą krótką tę odbywaliliśmy podróż, dając czas siędzą proboszczowi do przybycia dla podobnego obrzędu. Co za miły widok nas oczekiwiał! W pierwszym pokoju świeżo wysypanym jedlinką, długi stoł okryty był najsmakowitszym święconym. Tu na środku baranek z czerwoną chorągiewką na grzbiecie, trzyma w zawróconym pyszczku garstkę młodej trawki, jakby zwiastując wracającą wiosnę; obok podpira go dwoje tłustych prosiąt, a każde częstuje z paszczy czerwonym jajem, zwyczajnym wielkanocnym podarkiem; dalej indyk utuczony, który sam jeden; w całym domu przez post wielki nie pościł; szynka, główna ozdoba możnych i chudo-pacholskich święconych stołów; przy niej jakby dla rozdwojenia apetytu żarłoków, ćwierć cielęcą szeroką zalega miś. Cóż mówić o półgaskach, ozorach, cietrzewiach,

zdolnych najbardziej stępiony obudzić apetyt? Na obukonkach stołów zasiadły, szerokie, przysiadziste, jakby téj spiżarni gospodynie, dwie ogromne baby! Ach! bez nich cóżby całe święcone znaczyło? na ich ogorzałych obliczach, jak na twarzy pijaka gęsto wysypane czerwone garby, a ze środka czarnawa lipka wysączona massa, upewniała wprawne znawcy oko, że mimo straszne pozory, wewnątrz i zewnątrz smaczne były. Garnitur pirogów i placków rozmaitego kształtu i nazwania, zapełniał zdarzane między półmiskami przerwy, a wszystko gajem zielonego bluszczu zarosłe, troje razem zmysłów, widzenia, smakowania i powonienia nęciło.

Oczekiwano na xiędza proboszcza a tym czasem każdy przygotowywał się do swojej roli; poglądano w okna, milezano, lub szeptano z cicha; kotka tylko, faworytka domowa, siedząc na kredensie, figlarnie myła się łapką i Filonek tańcował około stołu. Przybywa nakoniec xiędz proboszcz; mój dziadunio przyjmuje go na ganku; wnet w komżę przybrany, mając za sobą organistę, z miednicą wody i kropidłem, poświęca i błogosławi dary Boże, a ukończywszy obrządek odwraca się z powagą do gospodarza i wyborną prawi oracyą, przez połowę po łacinie i po polsku. Mój dziadunio pełen erudycyi i jezuickiej jeszcze łaciny, wzajemnie zatém wyciął perorę proboszczowi, w której i dzisiejsza solennosc, i respekt dla jego pasterskiej godności, acuminose połączone były. Tu już następowały powinszowania; w których mniej dowcipu, a więcej prawdziwej wylewało się czułości. Syn i synowa, córki i zięciowie, ze łzami w oczach, mało mówiąc, całowali rękę ojca i dobroczyńcy. Nakoniec przychodziła kolej na wnuczka. Aj! serce mi się wyrывało z piersi! Występowałem więc, koło się rozszerzyło, jam na środku, domowy nauczyciel trochę bliżej od innych, dla dodania serca i w potrzebie wyrazu, jeżeliby pamięć lub energia mówcę zawiodły. Zaczynam...! O cudo! o mądrości nad wiek i nadzieje! zaczynam po francuzku i bez zajknięcia się palę aż do końca; już francuzczyzna w modę wchodzić zaczynała, i ja z gotową, w szkołach ułożoną oracyą, przybywałem na święta. Nie wiele jej wprowadzić rozumiał X. Professor co ją układał, nie rozumiał nauczyciel co mi ją repetował, nie rozumiał ja który ją perorowałem i nie rozumiał mój dziadulek, który ją słuchał, ale cieszyli się wszyscy. Dziadulek i rodzicne płakali z radości, jam płakał z dziecinnego rozrzewnienia.

Traktował potem gospodarz wszystkich z kolei, pokrajanem jajem i nie opuścił najmniejszego dziecka; a z uczuciem równie

życzliwim podawał talerz swym dzieciom, jak sługom i wiernej czeladźce, która potem szła do piekarni i posilała się nie tak wytwornem lecz równie obfitem święconem.

Dzień ten cały, jakże nam mile schodził! Dodawał dobrego humoru P. Huszczanowski organista; dał on bez miłosierdzia na klarynecie i skwarzącym się jak patelnia głosem wtórował Pannie Helenie.

Teraz, w wieczór równie jak dawniej spokojny i miły, tego samego wielkanocy święta, gdy usiędę na kamieniu, niemym świadku tu mego niegdyś szczęścia, uroczystą ciszę pięknej kwietniowej nocy chrząsz tylko burzeniem kiedy niekiedy przerywa. W tém pieśń: *Wesoły nam dziś dzień nastał!* rozlega się w oddaleniu... Wieśniacy to, wierni starym zwyczajom, winszują sobie tą pieśnią doczekanego święta.

## M O R A L N O Ś Ć

AUFREDL.

Port Roszelli nie zawsze był tak ubogi i nieludny jak jest teraz. W dawnych wiekach, wyrównywał w czynności i bogactwie, najznakomitszym potęgom morskim. Okręty Roszelli płynęły po najdalszych morzach i wracały obciążone skarbami handlu. W r. 1200, szczęście tego miasta doszło do najwyższego stopnia, a jego flaga panowała nad wszystkiemi. Zamężcie Eleonory z Gujany z Henrykiem Plantagenetem, oddało Roszellę w moc Anglików, którzy ją ogłosili wolnym portem. Przywilej ten sciągnął do niej kupców z całej Europy.

W owej epoce, handel morski inną zupełnie miał postać i cechę. Czas wszystko zmienia; handel doznał także jego wpływu. Za naszych czasów, przedsięwzięcia handlowe już nie są tak hazardowne jak niegdyś; opierają się na zimnej i ściślej rachubie; przybrały fizyonomią naszej epoki; przemysł je oblicza, lecz geniusz nie panuje nad niemi. Niegdyś, kupiec wysyłający okręty, nie mógł dokładnie przewidzieć skutków swojego przedsięwzięcia; powierzał cały majątek losowi i zręczności pełnomocnika; była to gra upajająca i straszliwa. Majątki tak szybko upadały jak wzrosły. Te niespodziane zyski, te przerażające klęski, te nagłe przemiany, nadawały myślom i czynom kupców, znanie wielkości i odwagi, wpływając na obyczaje i na charakter mieszkańców miast portowych. Łakomi użycia skarbów bez ustanku wystawionych na igrzysko losu, otaczali się dumnym i rozrzutnym zbytkiem i różnili się zupełnie od terażniejszych negocyantów, którzy, dzięki cywilizacyi, towarzystwom zabezpieczenia i pozakładanym wszędzie kantorom, mogą

spokojnie prowadzić interesa i nagromadzić pomierne ale bezpieczne zyski.

Roszella, bardziej niż inne miasta, doznała wpływu tych wielkich pomysłów, któremi owcześni kupcy przejęci byli. Wspaniałe gmachy wzniosły się jak gdyby dziełem czarodziejskiej ręki. Co chwila wążąc się między świetnym powodzeniem a może jeszcze głośniejszym upadkiem, kupcy, dumni z bogactw, ale tak bliscy strat, iż je przewidywać musieli, łączyli z próżnością i zbytkiem, uczucia popularności i miłosierdzia. Wznosząc kosztowne pałace i dając świetne biesiady, czynili także hojnie podarunki ubogim i starali się ulepszać ich położenie, pomni, że w każdej chwili mogą znowu zstąpić do rzędu pospółstwa.

Ze wszystkich kupców, którzy w dwunastym wieku, po zamęczeniu Eleonory dziedziczki Gujany z Henrykiem Plantagenetem zyskali niezmiernie bogactwa, najświetniejsze i najszybsze było powodzenie armatora Aufredi. Jego okręty zapełniały port, jego zbytek gasił świetność panujących książąt; wszędzie rozprowadano o jego hojności; i co wieczór w pałacu Aufredego, była uroczystość na którą cisnęli się najznakomitsi mieszkańcy Roszelli. Gmin witał go okrzykami radości; armatorowie zazdrościli mu skrycie, lecz przypuszczani do jego biesiad, składali mu powinszowania i hołdy. Pewnego dnia, z pomyślnym wiatrem, dziesięć jego okrętów wypłynęło z portu Roszeli, aby w dalekich krainach zamienić towary i zebrać skarby, które za powrotem powiększyć miały świetność właściciela. Było to wspaniałe widowisko. Tłum ludu w świątecznych sukniach zebrał się nad brzegiem. Tysiące bark zbrojnych igrało w koło okrętów kołyszających się na tramach; w jednej z nich był Aufredi otoczony przyjaciółmi. Wszyscy witali go oklaskami, wszyscy życzyli najświetniejszego powodzenia. Gdy wiatr nadał żagle dziesięciu okrętów, a flota, własność prywatnego człowieka, wyszła z portu i wspaniale wypłynęła na pełne morze, przedłużony okrzyk wzbił się na brzegu i poniósł pod nieba, życzenia i modły wszystkich mieszkańców. Tegoż wieczora, Aufredi dał wspaniałą zabawę kupcom Roszelli, wyprawiał ucztę majtkom, a pieniądze złote i srebrne rozdać kazał tłumowi cisnącemu się do bram pałacu.

Aufredi powierzył tym dziesięciu okrętom cały swój majątek i wszystkie nadzieje. Rok upłynął, okręty nie wróciły; zaufany w szczęście które mu dotąd sprzyjało, kupiec nie umniejszył zbytku i śmiało czekał przyszłości. Sześć miesięcy upłynęło znowu, a jeszcze nie widać okrętów. zazdrośni już się cieszyli; złe wieści kra-

żyć zaczęły o majątku Aufredego; mówiono o ciężkich burzach, zapewniano że dziesięć okrętów zginęło i że kupiec wszystko utracił. Zgubna przepowiednia! już się usuwali przyjaciele. Powodowany próżnością i dumą, Aufredi wyprawiał jeszcze świetniejsze, zabawy; podwoił hojność, wybudował nowy pałac i zgromadził w dom swój artystów i poetów. Z tem wszystkiem, skończyły się dwa lata, a nie było okrętów; zatrwające wieści dochodziły z dalekich krajów; szczątki okrętów, połamane maszty, znaleziono przy brzegach. Nie były to dokładne wiadomości; lecz sam tylko Aufredi wątpił o swoim upadku. Osłabł jego kredyt, i wkrótce, dla zaspokojenia zobowiązań, musiał sprzedać jeden pałac, potem drugi, a z kolei wszelkie posiadłości. Każdy dzień zmniejszał jego dawną świetność. Udał się do przyjaciół, lecz ci chronili się przed nim. Żądał wdzięczności tych których zobowiązał; odpłacili mu niewdzięcznością. Ci którzy go kochali w dostatkach, wyparli go się w nędzy. Za dobrodziejstwa zapłacono mu pogardą; za pożyczone złoto, obelgami. Sami tylko biedni mieszkańcy portowego nadbrzeża, pozostali mu wierni, a ich cześć i poświęcenie się towarzyszyły jego nieszczęściu. Gdy zbużony Aufredi, smutny i samotny przychodził do portu, majtkowie odkrywali głowę i nie śmieli wyrażać litości swojej, tak szlachetne i delikatne były ich proste dusze.

Aufredi zapłacił prawie wszystkie długi sprzedażą nieruchomości. Lecz już nie miał, ani przytułku gdzieby mógł spocząć, ani stołu przy którymby głód zaspokoił. Przywiedzione do tak wielkiego nieszczęścia, dusze mocne, lecz nie ożywione wyższym uczuciem, uciekają się do samobójstwa. Dusza Aufredego, inny hart miała. Pomyślność nie zatarta jej blasku, przeciwność nie zdołała jej poniżyć. Czystą była i wśród pomyślności i wśród nieszczęścia. Aufredi nie obwinił ludzi o niewdzięczność; przytłumił w sercu gorycz i skargi; ludziom słabym i głupcom zastawił gorzkie żale i głośnie dopominania. Bez zadrżenia przypatrzył się położeniu swemu i poznał że jest wyższym od losu. Oziębłe zważył wartość życzliwości ludzkiej i pomścił się za nią pogardą. Pewnego dnia, ujrzano w porcie Roszelli, pośród majtków, wyrobników i tragarzy, nowego pracownika. W grubą odzież ubrany, chętnie podejmował się najcięższych robót; silny i czerstwy, dźwigał największe ciężary i nie lękał się trudów. Robotnicy przyznawali sami, iż żaden z nich nie mógł wyrównać mu w odwadze, czynności i si-  
le. Pomagał ładować towary, prowadził

cudzoziemców, nosił tłumoki podróży i paki kupców. Jednakże, wśród służebnych zatrudnień, oblicze jego było szlachetne i śmiałe; spojrzenie jego rozkazywało wówczas, gdy ręce wykonywały rozkazy; pochylały się jego ramiona, lecz dusza nie uniażała się nigdy. Towarzysze szanowali go i czcili, lecz armatorowie i bogaci kupcy Roszelli, mówili, patrząc na niego. „Oto jest Aufredi tragarz.“ I odchodzili udając że go nie znają. Zdarzyło mu się nie raz, że go użył który z jego dawnych przyjaciół.— „O Panie, rzekł do jednego z nich, dźwigasz na sercu większy ciężar, niżeli ja na ramionach moich.“

Przez pracę i oszczędność, Aufredi zaspokoił wszystkie zobowiązania. Mawiał potem, że najpiękniejszy dzień jego życia był ten, w którym ostatni dług zapłacił. Rzecz dziwna, w tym nowym sposobie życia, znalazł wkrótce więcej szczęścia i godności, niżeli w złoconych dniach dostatku i przepychu. Niespokojność umysłu pokonał trudami ciała, a cześć serca zapełnił wewnętrznym zadowoleniem. Szlachetne dusze, popadły w nieszczęście, wychodzą z niego silne i świetne: taką była dusza Aufredego. Wyobrażenia jego stały się poważne i surowe. Praca i ubóstwo nauczyły go rezygnacji, stałości i cnoty. Pogardził fałszywymi dobrami świata i poznał prawdziwe skarby, które niebo człowiekowi nadało. A przytem, chociażby samo nieszczęście nie obfitowało w nauki wszelkiego rodzaju, błogosławić je należy za pobożne współczucia któremi nas otacza; te których nas pozbawia nie są godne naszego żalu; lecz te które nam zjednywa, są to szacowne i chwalebne zdobycze. Przyjaciele i dawni współtowarzysze wyparli się jego nazwiska: prosty lud uczył jego nędzę, i otoczył go większym uszanowaniem niż wprzód. W oczach robotników portowych, Aufredi był jeszcze potężnym armatorem, który zadziwiał Roszellę wspaniałością i zbytkiem; wdzięczni mu byli, że dzieląc ich pracę, uszlachetnia je, i wznosi.

Zadna skarga nie wykradła się z ust Aufredego; nikt nie mógł wiedzieć czyli kiedykolwiek powstała w jego sercu. Oblicze miał surowe lecz pogodne. Doświadczenie spędziło uśmiech z ust jego, lecz nie zachmurzyło czoła. A przytem, ubóstwo nie wydarło mu najśrodszych przywilejów majątku. Pozostał opatrzością pospółstwa. Dawniej, bogactwami przynosił ulgę nieszczęsnym; dzisiaj wspomagał ich naukami i przykładem; wspierał słabego i z uboższymi od siebie dzielił się codziennym zarobkiem. Są boleści, których nie pocieszy złoto bogacza, lecz które ukoi szeląg ubogiego; są łzy, których gorycz zło-

to pomnaża a które jedno słowo osusza. I stało się, że Aufredi w ubóstwie więcej zrobił dobrego, niżeli kiedykolwiek za czasów swojej świetności. W dniach święta i wypoczynku, widziano go w porcie albo nad brzegiem morza; tam, otoczony robotnikami, nauczał ich, jak mają znosić niedostatek, jak oszczędzać pracę, jak przestawać na małym. »Przyjaciele, mawiał często, zazdrościliście mi mojego bytu, a teraz bogacze i możni powinni mi zazdrościć. W pracy rąk moich znalazłem spokojność i prawdziwe szczęście.« I odkrywał im tajemną stronę tego istnienia którego tak zazdroszczą; opowiadał trawiące troski kupca, jego powierzchowną wesołość tłumioną boleścią, dni bez spoczynku, nocy bezsenne; wskazywał gorycz na spodzie biesiadnego kielicha, muł pod przejrzystą wodą, pożerze troski ukryte pod jedwabną zasłoną. »Patrzcie, mówił, na tę przestrzeń morza; tak jest błękitna i spokojna, lecz potwory kryją się w jej głębinach. Błogosławcie niebu, za wasze ubóstwo.«

Bóg zesała na Aufredego silniejszą jeszcze i straszliwszą próbę. Dawny armator od roku żył w ubóstwie i pracy, a nie zmienił się jego charakter. Pewnego dnia, gdy odniósłszy pakę z towarami, wracał do portu, usłyszał krzyki rozlegające się nad brzegiem; i skoro tylko stanął, powitało go tysiące okrzyków, tysiące rąk chciało go nieść w tryumfie. Wszystkich twarze były uradowane, lecz wszystkich oczy zalane łzami. Sam tylko Aufredi stał obojętny. Pięć okrętów obciążonych skarbami zawinęło do portu Roszelli, a na każdego sztabie, złotymi literami jaśniało imię Aufredego. W trzy dni potem, wróciło drugie pięć okrętów, naładowanych najdroższymi i najrzadszymi towarami. Komissanci wytłumaczyli się, że ich spóźnienie było skutkiem przeciwnych wicherów i nieprzewidzianych zdarzeń, i złożyli rachunki panu swemu.

Cóż się stało z tą pogardą bogactw, którą przez rok cały okazywał zubożony kupiec? Nikt nie mógł wiedzieć co się działo w jego duszy. Na twarzy nie okazała się ani radość, ani podziwienie. Pośród uniesienia pospółstwa, on sam pozostał obojętnym i ziwnym. Jednakże oddalił się z portu, chcąc zapewne czemprędzej użyć odzyskanych bogactw, a w krótko po całym miesiącu rozprawiano o rozrzutności, której znowu chce się oddać. Aufredi już odkupił jeden z najwspanialszych pałaców Roszelli i powiadano że przepych sprzętów i ozdób przechodzi wszelkie wyobrażenie; że ten filozof, który dniem wprzód uczył zamiętowania w mierności, nigdy jeszcze do takiego stopnia nie posunął wytworu i zbytku.

Gdy ozdabiano pałac, Aufredi nie pokazał się ani w porcie ani w mieście, a po ukończeniu przygotowań, zaprosić kazał stan kupiecki, na uroczystość, którą chciał uświęcić powrót szczęścia. Zaproszeniom towarzyszyły tak bogate dary, nieśli je studzy tak dorodni i tak pięknie ubrani, iż wyglądali jak paziowie królewscy. Zaproszenia i dary przyjęto z uniesieniem. Wszyscy już byli przyjaciółmi Aufredego. Z zapalem mówiono o jego bohatyrskim postępowaniu w epoce przeciwności. Poeci nastrojali liry, przyjaciele odzyskali pamięć.

Nadszedł dzień uroczysty. Już od rana brzmiała muzyka w ogrodzie Aufredego. Sale napełnione były kwiatami a przed wieczorem tłum oblegał bramę. Najbogatsi kupcy i obywatele, najpiękniejsze kobiety, tłoczył się na szerokich schodach i powoli wchodził do sal jaśniejących złotem i światłem. Wszyscy przyjaciele Aufredego płakali z radości i rozrzewnienia; niebo wysłuchiwało nareście ich życzeń i modłów. Szukano Aufredego, wołano go, lecz go nie było nigdzie.

W jadalnej sali, stół świetny, zastawiony wybornymi potrawami, oczekiwał gości. Harmonijna muzyka brzmiała na galeryach i niczego nie brakowało prócz gospodarza.

Nagle, powstaje głuchy szmer oburzenia. Majtkowie, wyrobnicy i tragarze portowi, ich siostry, żony i córki, zaproszeni wszyscy, weszli w świątecznych sukniach i pomięszali się z bogatymi kupcami. Studzy, prowadzą ich na pierwsza miejsce. Bogaci armatorowie wołali Aufredego, pytając się co znaczy ta zniewaga; gdy w tém otworzyły się drzwi w głębi sali i wszedł Aufredi w ubiorze tragarza.

Przeszedł między kupcami nie spojrzawszy na nich, i serdecznie powitał robotników. Niektórzy z nich, nie śmieli podać mu ręki zgrubiałej od pracy; lecz on przyciskając ich do serca, rzekł. „Czyliż mię nie poznajecie? czyliż nie jestem waszym towarzyszem? Patrzcie, moja twarz ogorzała od słońca, praca pochyliła moje ramiona, ręce moje tak stwardniały jak wasze. Kochajcież mię nie i odpychajcie od siebie. Czyliż i szczęście będzie tak okrutne jak przeciwność? Czyliż mię pozbawi przyjaciół? Za Aufredym szło dziesięciu służących, a każdy niósł dwa worki napełnione złotem. Wyposażył dziesięć dziewczyn i tyleż młodzieńców i rzekł do rodziców płaczących z radości. Czyliż zdołam zawdzięczyć wasze dobrodziejstwa? Od was nauczyłem się pogardzać majątkiem, a w pracy szukać prawdziwych skarbów życia.

Dawniejsi przyjaciele Aufredego, zbliżyli się do niego i winszując szczęścia, usiłowali zwrócić na siebie jego uwagę. „Mości panowie, rzekł do nich, musiała zaidsz

jakaś omyłka. Nie jestem bogatym i nie mam honoru znanym bydź od was. Przez cóż zasłużyłem na wasze odwiedziny? Mylicie się panowie; spojrzycie na moją odzież; jestem tylko tragarzem portowym.

Bogaci kupcy, chociaż w tak przykrém znajdując się położeniu, nie zabierali się do wyjścia; zadumienie, pomieszanie, a może także i dziwaczność tego widowiska, zatrzymywały każdego. Tymczasem, służący obnosili wino, lecz częstowali samych tylko ludzi z pospólstwa; ładne dzieci, ubrane jak pазie, podawały ich żonom i córkom bukiety, sztuki matery i rozmaite stroje. Zaczęły się tańce, Aufredi poszedł w pierwszą parę z córką najpracowitszego i najuczciwszego robotnika.—»Panowie: rzekł do bogatych mieszkańców Roszelli, którzy z udręczeniem czekali końca tak bolesnego żartu: nie zapomnimy nigdy i jaki zaszczyt chcieliście nam uczynić. Obecność wasza powiększa nasze uciechy.

Gdy już była godzina dwunasta, Aufredi zaprosił przyjaciół swoich do sali biesiadnej. Bogaci i niewdzięczni kupcy, poznaawszy, że od kilku godzin są celem szyderstwa, oddalili się ze wstydem na czoło.

Tym jedynie sposobem Aufredi ukarał ich za niepamięć, obojętność i wzgardę, którą mu okazali w dniach przeciwności. Słodka radość panowała przy biesiadzie. Gdy przyniesiono wety, Aufredi wstał i rzekł: »Współtowarzysze, niebo powróciło mi bogactwa. Poświęcam je dla waszego wsparcia., O drugiej godzinie po północy, Aufredi wyszedł z pałacu i zamieszkał w szczupłej izdebce, którą zajmował w czasach ubóstwa. Nazajutrz, wyczytano na wystawie jego pałacu, te dwa wyrazy: *Szpital Aufredego*. Jakoż, cały swój majątek poświęcił na dobroczynne zakłady. Ten szpital dotąd istnieje w Roszelli, z tymże samym napisem, a imie i dobrodziejstwa Aufredego, utrzymują się w pamięci mieszkańców.

## DZIECI MIESZKAŃCÓW KANADY.

Kobiety kanadyjskie odbywać muszą delicate podróże z dziećmi swemi i dla tego kładą je w małe łóżeczko, w którym nie mogą ruszyć ani ręką ani nogą. Stawiają potem to łóżeczko prostopadle w koszyk, a przywiązawszy go sobie na plecach, idą lekko bez kłopotu i unużenia. Dziecko ma głowę wolną. Gdy chcą wypocząć, zdejmują koszyk i opierają go o drzewo lub o kamień, albo też zawieszają na gałęzi. Matki jak najtroskliwiej ozdabiają ten koszyk, pletą go starannie, a pasy wyszywają w rozmaite rysunki. Jest to razem ozdobą dla nich i dla dziecka; koszyk ten zastępuje miejsce sukienek, powijaka, płaszczyka, itd.